

zach herezji. // Żeby uniknąć tego, co nazywają spokojem wiary, / a co jest po prostu samozadowoleniem”. Z Kościołem Miłosz pogodził się również na parę miesięcy przed śmiercią; tym razem własną.

Ponieważ informacja od Sterny-Wachowiaka jest nadzwyczaj eliptyczna, rodzi się chęć, by dopytać: czy i w jaki sposób redakcja CzK zniesławiła Kościoła i Herberta? Jeśli tak było, to czy właśnie o to miał żal Miłosz? Wreszcie czy faktycznie wielki poeta był tak wielki, że rościł sobie wyłączne prawo do prowadzenia sporów? Na te pytania odpowiedzi zna tylko autor przywołanej notatki...

♦

(Jednym zdaniem). Skoro o Miłoszu było, w „Toposie” (4/2011) nowy przekład Jeruzalem Blake’a autorstwa Elizy Borkowskiej (dziewięć pierwszych tablic i początek dziesiątej). W „Lampie” (9/2011) bardzo ciekawy debiut prozatorski Ady Altmeier Długi weekend. Ukrainofile niech sięgną po „Strony” (3-4/2011). „Tygiel Kultury” w roku 2011 świętuje 15 lat pisma oraz utrzymanie się na powierzchni pomimo dziury w kałużbie, jaką uczyniło ucięcie dotacji z ministerstwa. „Format” też ma mały jubileusz (60. numer), z tej okazji na stronie 19. zamieszcza rzadki (oraz parę pospolitych) okaz redaktorskiego chochlika, prawdziwe cymelium niedbałości, i jeden z najbardziej znanych wierszy Adama Zagajewskiego (naszego wieloletniego faworyta w walce o Nagrodę Nobla) podpisuje nazwiskiem Zbigniewa Rybczyńskiego (zdobywcy Oscara za animację).

●

## Pamflet na wszystkich ludzi (5)

Edward Pasewicz

Małpki, pawiany, szympansy – pomyślał mężczyzna, patrząc na młodzież tłoczącą się przy barze w klubie Cocon – a ja jestem gorylem. Usiadł ciężko na stoliku barowym i powiedziało do Barmana:

– Jakieś piwo dla goryla.

– Proszę bardzo – powiedział rudy Barman i pomyślał, że ten śliczny chłopiec, który przyszedł tutaj z mężczyzną, musi mieć nierówno pod sufitem.

Wpatruje się w niego – myślał rudy Barman – jak w bóstwo. Jest czwartek, karaoke, on zawsze przyłazi w czwartek, siada i patrzy. Rudy Barman nalał piwo mężczyźnie i znacząco spojrzał na pana Filipa Malewskiego.

– A on? – zapytał.

– On – mężczyzna ciężko odwrócił się i spojrzał na swojego uśmiechniętego towarzysza – on, proszę pana, nie istnieje, to tylko moja halucynacja.

– To dlaczego ja go widzę? – zapytał trzeźwo rudy Barman.

– Nie mam pojęcia, ale na pewno jest jakieś racjonalne wytłumaczenie.

+

Pan Filip Malewski sam sobie zamówił piwo. Osacza mnie – myślał tłusty mężczyzna – osacza mnie ten świat i góra tłuszczu mnie osacza. I ten dzieciak, i Pan Staś. Wszyscy mnie osaczają, a ja jestem gorylem. Mężczyzna spojrzął znowu na salę, gdzie uzdolnieni młodzieńcy z Liceum Teatralnego mieszczonego się na ulicy Brzozowej wydobywali z siebie dźwięki. Mężczyzna zmrużył oczy i zobaczył stadko małąp. Wszędzie. Każdy atom powietrza w tym lokalu był nimi wypełniony. Z zamyślenia wyrwał go dźwięczny męski głos Filipa, który po kilku minutach wpatrywania się w seksowny kark mężczyzny jednakowoż zapragnął konwersacji bardziej bezpośredniej.

– No i który z nich się panu podoba najbardziej?

– Żaden – ponuro powiedział mężczyzna.

– A były czasy – wtrącił się rudy Barman – że podobali mu się wszyscy bez wyjątku.

– Pan jako moja halucynacja – powiedział do Filipa mężczyzna – powinien wiedzieć, że to rude truchło o twarzy jak Krystyna Janda po prostu łąe.

Rudy Barman zachichotał. Mężczyzna pomyślał, że nie może zachichotać, ponieważ z twarzy zrobiła mu się wielka rozgotowana golonka i taki chichot groziłby rozpadnięciem się twarzy na tłuste ochłapy. Pomyślał też, że byłby to w gruncie rzeczy tragiczny i piękny koniec. Tu, wśród tych wysztafirowanych małąp, z daleka od obiektu jego płomiennej miłości. Nierozważnie i romantycznie.

Rudy Barman wyszedł z baru i stanął obok pana Filipa.

– Dlaczego łąasz tak za nim?

– Miłość – bąknął pan Filip i popatrzył na mężczyznę, który lekko sapiąc, palił papierosa, zupełnie ignorując zakaz palenia.

– Miłość – wytrzeszczył oczy rudy Barman.

– Tak jest – potwierdził pan Filip.

Tymczasem Pan Staś właśnie wstawał z popołudniowej drzemki, która przerodziła się w drzemkę wieczorną. Śnił o wspaniałej broni. Był to mianowicie karabin mikrofalowy zrobiony z nanocząsteczek załamujących światło, czyli praktycznie niewidoczny. Z tym karabinem Pan Staś siedział w knajpie Zwis i strzelał do niczego nie podejrzewających przechodniów płci obojga i wieku różnego. Działanie tej sennej broni było doprawdy wspaniałe. Człowiek trafiony wiązką rozpadał się na atomy dopiero po kilku godzinach i nie pozostawał po nim żaden ślad. Pan Staś był zachwycony. Odpadał problem tysięcy zwłok, epidemii i smrodu. Wszystko można było załatwić po cichu i elegancko. Druga część snu też była wspaniała. Z niewiadomych przyczyn Kraków stał się ogromnym waflem. Całkiem pożywnym i słodkawym, który można było zjeść, co też Pan Staś natychmiast uczynił. Ale sen szybko spełził z jego powiek. Po kilku sekundach Pan Staś oprzytomniał i uświadomił sobie, że obiecując Olimpij przybycie na wieczorny wernisaż połączony z koncertem, popełnił przynajmniej dwa błędy. Po pierwsze, nie ulegało wątpliwości, że na wernisażu znajdzie się jego słoniowaty prześladowca. Pan Staś będzie musiał się z nim zapoznać, a to burzyło jeden z morderczych planów Pana Stasia, który miał ochotę zamordować mężczyznę w jakiś okrutny sposób. Po drugie, Pan Staś nie bardzo orientował się w sztuce współczesnej. Obili mu się o uszy jacyś akcjonisci, co to smarowali się kałem i innymi wydzielinami. Miewał chwile słabości przy hiszpańskich malarzach dworskich. Ale polskiego malarstwa współczesnego nie znał zupełnie. No, ale dał słowo. Obiecał. Ubrał się, wypachnił i wyszedł.

Gdyby mężczyzna, który w życiu zjadł już kilkakaset cielęcych giczy, wiedział, że Olimpia dzwoni do niego natarczywie, ponieważ w galerii pojawił się Pan Staś, odebrałby telefon

i podreptał tam wraz z nie odstępującym od niego Filipem Malewskim. Niestety nie uczynił tego, ponieważ w przepastnych kieszeniach jego gigantycznych spodni dźwięk dzwonka zwyczajnie ginał. Poza tym mężczyzna pił już swoje jedenaste piwo i zjadał trzecią miseczkę orzeszków, i znosił dzielnie pogardliwe spojżenia anorektycznych młodzieńców.

A tymczasem w galerii Olimpia powoli instalował się punkowy zespół o wdzięcznej nazwie The Zepsół. Była to formacja skrajnie niszowa, w której to nikt, ale to absolutnie nikt nie potrafił grać na powierzonym mu instrumencie. Znała historia, jak to jeden z ekscjonków The Zepsół został brutalnie pobity i wyrzucony z zespołu, kiedy się okazało, że chodził przez kilka lat do ogniska muzycznego w Niepołomicach. Na swojej stronie internetowej The Zepsół informował, że grają improwizowanego post-psycho-cyber-gender-free-impro-punka. I są najstarszym kwartetem punkowym na świecie, w sumie bowiem liczą już 240 lat.

Pan Staś skromnie przystanął przed galerią i obserwował poczynania zespołu. Dziadkowie zupełnie mu się nie podobali. Nie znosił nabijanych ćwiekami kurtek ani glanów. I zupełnie nie przekonywały go postawione z siwiejących i wątych włosów czuby. „To się może zdarzyć tylko w tym mieście. Konserwatywne pedały i sześćdziesięcioletni punkowcy”. Pan Staś ze smutkiem pomyślał o tym, że mikrofalowej broni operującej na wąskim zakresie fal jednak nie ma. O, jakże piękną śmierć w męczarniach przygotowałby tym tutaj punkowcom.

Artysta, który miał wystawiać płótna, był znanym kazimierskim malarzem, widzęjem, genderystą, zwolennikiem radykalnej feminizacji mediów, ateistą, członkiem wolnych grup z Bukowiny i Siedmiogrodu, specjalistą od energii kryształów, run, oczyszczania karmy, radykal-

nego wybaczenia, i poprzez medytację jego głos operował w niesłyszalnych dla ucha ludzkiego rejonach i tak dalej, i tak dalej. Nie jadł mięsa ani niczego, co od zwierząt pochodziło. Rośliny jadał surowe i kilka dni w miesiącu pościł w celu uratowania przyrody tatrzańskiej. Imię i nazwisko też miał nadzwyczaj oryginalne: Rościsław Dziubajko-Karwański. Należał on do grupy artystycznej Brzydko, która przeciwstawiała się grupie artystycznej Ładnie i grupie Otwarta Pracownia. Przedstawiciele grupy Ładnie i grupy Otwarta Pracownia stali z transparentami po drugiej stronie ulicy.

Pan Staś przyglądał się temu wszystkiemu z lekkim niesmakiem.

Artysta Rościsław zaczął swoją akcję. Na początku oczyścił specjalnym kryształem aureę miejsca, śpiewając w niesłyszalnym rejestrze szamańską pieśń o wyższości kobiecej części psychiki nad męską. Następnie rozdał zebrany czarki wyżłobione z kory drzew rosnących na Bukowinie i w Siedmiogrodzie. Do czarek tych nalał różnokolorowych farb i skinał na The Zepsół.

Tymczasem mężczyzna, który potrafił zjeść wędzoną słoninę, nie miał pojęcia, że jego lek na wszelkie nieszczęścia, jego słońce Karpat, Zefir Hamburga, brzuch Paryża, płuca Wiednia, słowem Pan Staś osuwa się właśnie pod ścianę z rozdziawionymi ustami i przerażeniem w oczach. •